Rozmaitości

Dnia 22. października N^er. 42. 1831 roku.

L U N A T Y K,
CZYLI:
SZEŚĆ WIECZORÓW KASZTELANA.
Przez
JANA NEPOMUCENA KAMIŃSKIEGO

Wieczór szósty i ostatni.

Człowieku, pomyśl, miéj prawdę na względzie,
Wpatrz się głęboko w słowo rozwinięte!
Co było niegdy, to samo i będzie,
Zawsze przez Dzisiaj z miéjsca niepomknięte.
Czujeszto sercem, iż zmysł wiedzie w błędy,
Lękasz się śmierci, któréj nigdzie nie ma;
Noc i noc tylko zawsze widzisz wszędy,
Słońce pod ziemią chcesz widzieć oczyma!
Dzielisz czas w ranek, wieczór i południe,
Odważasz północ, każdą chwilę ciasno;
Ach spuść się tylko duchem w prawdy studnię,
Tam okiem ducha ujrzysz prawdę jasno:
Co śmierć, co życie, co te zmienne cienia.
Czas zawsze wężem, tylko łuskę zmienia!

1.

Skoro się ranek w pogodę rozwinął,
Dzwon wkoło obniósł uroczyste święto;
Ze wszech stron tłumem lud na odpust płynął,
Na wszystkie strony kościoł odemknięto.
Snują się pieszych ścieżkami szeregi,
Wóz na gościńcu zadławia się wozem;
Dunajcem ciągną ładowne komiegi,
Kramy się kładą po chaszczach obozem.

2.

Gdzie jaka przestrzeń, bazar miejsce bierze,
Gałąź rozwiesza przemysłu zdobycze;
Na wybór idą z barw tkane szkaplerze,
I złotem lśniące łakotki dziewicze.
Krasnemi smugi na świeżéj murawie,
Wabią przewitki, wstęgi, i korale;
Jak w skwarny upał za rosą żurawie,
Tak tam za niemi biegną w targ Gorale.

3.

Zwiększa się wrzawa, gwar po lesie szumi,
Płaczliwą pieśnią kalectwo zawodzi;
Coraz się bardziéj okolica tłumi,
Nawałem rośnie, jak strumień w powodzi.
Dymią się ognie na obchód godowy,
Wesołym krzykiem gadają szałasze:
Płynie w dzban napój różno-kolorowy,
Wszędzie brzmi hasło: co dziś, to i nasze!

4.

Lotar z Albinem, którzy niegdy razem
W tę *Jozefata* patrzyli dolinę;
I zachwyceni ruchliwym obrazem,
Brali pod penzel rojną gmatwaninę;
Żadnego teraz nie mają udziału,
I na klasztornym nie stoją krużganku;
Czyto skwarnego chronią się upału,
Albo ich znudził ten gwar bez ustanku?

5.

Wiedź nas za nimi wieszczy przewodniku!
Kłębek ich czynów domaga się końca;
Oto ich widzim w zacisznym chłodniku,
Wolnych od wrzawy, bezpiecznych od słońca.
Obadwaj we łzach, wzięli się w ramiona,
Jeden drugiego chciałby wcisnąć w siebie;
Nadbiegła chwila ubłogosławiona,
Świadectwo zgody pisze anioł w niebie!

6.

»Bracie, ach bracie,« z płaczem Lotar rzecze,
»Rozstać się musim, a może na wieki!
»Zbyt prędką chwilą życie ludzkie ciecze,
»Do źródeł swoich nie wracają rzeki!
»I ja w rodzinną nie wrócę zagrodę,
»Mnie radość nigdy wianka nie uplecie;
»Ja w próg ojcowski żony nie przywiodę,
»Już mnie pojwiośnie, już mnie i po lecie!

)(

7.

»Niech cię nie smucą moich przeczuć bole,
»Po mojej zgubie nie chcę twej żałości;
»Bierz w tym zapisie mego spadku dolę,
»W grobie rodziców złóż Lotara kości!
»Pozdrów ode mnie ojcowską ziemicę,
»Powiedz, niech na mnie daremnie nie czeka;
»Szerszą ja, szerszą obejmę granicę,
»Tak nie zmierzoną, jak i myśl człowieka!

8.

»Jam sobie wojnę obrał za rzemiosło,
»Czyliż cię dziwi, że mówię o zgubie?....
»Miej w czci synowskiej naszej łodzi wiosło,
»Wiesz o kim mówię, mówię o Jakóbie.« —
Tu po raz drugi jęli się za szyje,
Serce do serca ścisnęli gorąco;
Mogłożby oko bez łez widzieć czyje,
Tę miłość bratnią, wzorem świat wstydzącą?

9.

Wychodzą w światło z ciennego chłodnika,
Ale ich smutek nie został w zacieniu;
Zbliża się Jakób w szacie zakonnika,
Te słowa do nich mówi w rozrzewnieniu:
»Jak z jednej grudki rozproszone pyłki,
»Wiatr nas rozprasza w różne świata części;
»Ja mam w dozorze dwie drogie mogiłki,
»Ich stróżem umrę... a wam niech Bóg szczęści!

10.

»Wierniem was chował, jak oka rzenicę,
»W tej szacie zmarłem i dla was i dla mnie!
»Wkrótce spać pójdę, gdzie wam spią rodzice,
»Żyjeż gałązka od krzaka odłamanie?
»Jeźli was kiedy bieg życia zawiły,
»W te smutne miejsca przypadkiem zażenie;
»W bliż przy rodzicach szukajcie mogiły,
»Tam łóżko moje — zmówcie pozdrowienie!

11.

Łzy wychowańców wstrzymują go w mowie,
Ginie im dusza i wierna i luba!
Jak ojcu do nóg padają synowie,
Tak oba padli wraz do nóg Jakóba.
W milczeniu idzie uroczysta chwila,
Bóg w serca weszedł, wpłynął zdrój jedności,
Anioł na niebie zasłonę odchyla,
Patrzy na trójcę anielskiej miłości!

12.

Podniósł ich starzec, przytulił do łona,
I śnieżny listek podał do czytania;
»Weźcie go, weźcie, pisała go ona,
»Smutnyto poseł, przyniósł znak rozstania!
»Już z naszej strzechy ulata jaskółka,
»Bierze nam radość i wiecznie zatrzyma!
»Słodkich serc wiecznie rozwodzi się spółka,
»Dajcie łzy oczom... w moich, już ich nie ma!«

13.

Odszedł na stronę, wzrok spuścił ku ziemi,
Lotar list w martwym długo trzyma ręku;
Nakoniec wodząc ustami drżącemi,
Jak przez sen czyta w obumarłym dźwięku:
»Żegnam was — żegnam, życia towarzysze!
»Żegnam na wieki — Bóg mię ciężko karze;
»Jutro ze świtem — łzami to wam piszę,
»Jadę... bądź szczęśliw... mój zbawco... Lotarze!

14.

Że pomartwieli, Jakób ich nie wini,
Piorun uderzył z każdego wyrazu!
Lecz rzadki widok przysługę im czyni,
Wraz się ocknęli widokiem obrazu:
Patrzą i sądzą, że ich łudzą czary,
Patrzą, nie wierzą, chociaż widzą wiele;
Z domu Heleny wychodzą czamary,
Kosztowne strusie, świetne karabele.

15.

Przy Podczaszynie w klejnotnéj iglicy,
Idzie kształt gładki, bije złotogłowiem;
Czyto kształt nieba, czy wieszczej dziewicy,
Nikt o tem nie wie, i ja nie opowiem.
Zaledwie wyszła, wyszły z ganków huki,
Gmin rozstęp czyni, postać mdło pomyka;
Sieją jałmużnę pazie i hajduki,
Całe zjawienie w gmach kościoła znika.

16.

Lotar z Albinem nie chcą dawać wiary,
Że co widzieli, nie było im we śnie;
Nie chce ich z błędu wywieść Jakób stary,
Wie on, iż pewność skaleczy boleśnie!...
Tak się tym dzieje, co na piękne marzą,
A trwogę skrycie wieje przeczuć skrzydło!
Cień z najpiękniejszą przesuwa się twarzą,
A za nim kroczy nieszczęścia straszydło!

17.

Jak, kiedy rydwan końmi uniesiony,
W kamień uderzy i tak w górę skoczy;
Że mu dwa koła w dwie przeciwne strony,
Moc uderzenia razem w dal zatoczy;
Tak obaj bracia przeszyci wyrokiem,
Razem od siebie piorunem skoczywszy;
W dwie różne drogi puścili się skokiem,
Rzekłbyś, iż w zakład, który z obu żywszy.

18.

Jakób za nimi krzyknął w głos z pagórka,
Chciał ich zatrzymać, chciał słowem pocieszy'
Lecz mu do służby jękła sygnaturka,
Spojrzał po siebie — i musiał się spieszyć! —
Czas idzie wolno — nic się nie wydarza,
Zwykłą kolcją przechodzą dnia pory;
Pieśń trzykroć poszła w około cmentarza,
Dzwonią na obiad, po nim, na nieszpory.

19.

Słońce zachodzi — wieczór świat osiada,
Ognie się palą gęsto po dolinie;
Powoli gasną, niemieje biesiada,
Gwar się ucisza, ucisza — i ginie.
Całą naturę usypia noc głucha,
Czarną świat wdziewa do spania sukienkę;
Gdzie niegdzie tylko łyśnie złota mucha,
Pojazd przed gankiem czeka na jutrzenkę.

20.

Sen twardy w przemoc bierze dusz tysiące,
Śpią namiętności, zasnęły i troski;
Z marzeniem płyną balsamy gojące,
Na pół umarłych strzeże anioł boski!
Cichość panuje, noc się ciężko waży,
Jak waży dusza smutek i nadzieję!
Lecz któż tam stanął jakby grobom w straży?
Nad jego głową krwawa gwiazda tleje!

21.

Kto zwiedza cmentarz w tej duchów godzinie?
Kto czas spoczynku zatrzymuje w pędzie?
Płaszcz czarny z ramion po ziemię mu płynie,
A w ręku łyska śmiertelne narzędzie!
Krwawy ma zamiar na jego użycie,
Zblizka ugodzi, kiedy obrał cienie!
Tu się zaczyna wycierać w błękicie,
Wschodzący xiężyc pomrok w doły żenie.

22.

Ledwie w świat spojrzał, już mgły płazem leżą,
Już czyste niebo miły odblask roni!
Złotą murawę długą ściele wieżą,
A sam jak młodzian za miłostką goni!
Coraz się milej, coraz słodziej śmieje,
Złudne migotki wysyła na swaty;
Klną go zabójcy, klną go i złodzieje,
On k' sobie ciągnie ocean i światy!

23.

Szerokiem kołem puścił płaszcz niebieski,
Po nim rozpłynął włos złoto-śrebrzysty;
Dumnie mu w oko trzyma tarcz Sobieski, *)
I świeci sławą, jak dyjament czysty!
Kąpią się w cieniach i lasy i góry,
W całej przyrodzie tętno cicho bije;
Po złem sumieniu łażą blade zmory,
Serce tyrana głosem wilka wyje!

24.

W celi Albina zajaśniała szyba,
Wszystek zdrój światła na niej się obrębia;
Xiężyc na niebie, jak jastrząb' się chyba,
Gdy dzióbem mierzy w biednego gołębia!
Albin śpi twardo, w dół mu zwisła ręka,
Zegar na ścianie chwiejny penduł wiedzie;
Ważnie po izbie o tej prawdzie szczęka,
Że zębem czasu, godzin koło jedzie!

*) *Scutum Sobiescianum* — Tarcz Sobieskiego — gwiazdy.

25.

Zbawca na krzyżu wisi w głowach łoża,
Ku Albinowi rozpostarł ramiona;
Z nad okna smutno patrzy Matka Boża,
W zakącie stoi lutnia rozstrojona!
Długo po szybie blask xiężyca śliźnie,
Aż się przez szybę promieniem wskroś wszywa;
Długo się błąka po łoża bieliźnie,
Aż mu ruch we śnie śnieżną pierś odkrywa.

26.

Jak się młodzieniec pieszczotą zachwyca,
Kiedy go wdziękiem udarzy kochanka;
Tak się i oko rozpieszcza xiężyca,
I płynie szczodrze ze świetnego wianka.
Całym się blaskiem kładzie na pościeli,
I ten blask w świeższe rozléwa promienie;
Biją jasnością białe ściany w celi,
Po kątach tylko stoją słupem cienie.

27.

Tu na zégarze syknęła godzina,
Na lutni stróna sama sobą dźwiękła;
Twarz się młodzieńca rumienić zaczyna,
Srogim odjazdem boleśnie wylękła!
Ruch się po członkach leciuchno rozwinął,
Usta jakoweś wymówiły słowa;
Ledwie czas wskazką trzykroć w przyszłość kinął,
Już się z wezgłowia wprost podniosła głowa.

28.

Długo na łożu siedzi postać blada,
Długo posępność otacza ją głucha;
Ciągle coś sobie cicho opowiada,
Tajemnic duszy niema ściana słucha:
»Wciągniej mię w siebie, osłodź gorzkie bole,
»Tyś mi ją uniosł, w śklistém ukrył oku;
»Ale ja zdobycz z oka ci wykolę,
»Z duszą się skąpię w twoim jasnym stoku!«

29.

To wymówiwszy, wychodzi z pościeli,
Jakby do ślubu wszystko biało wdziewa;
Czyni porządek na odjazd po celi,
I stając w oknie znowu się odzywa:
»Dwie osób w tobie — to Abel z Kainem, *)
»Kain méj duszy istota obrzydła!
»Na pamięć wieczną skościał krwawym czynem,
»I wiecznie Abla zabiera na widła.

30.

»Gdybym tam z sobą mógł unieść Lotara,
»Jakiżby przykład w tobie świecił światu!
»Ślicznej przyjaźni świeci w niebie para, **)
»Radbym zaświecić, jak brat sprzyja bratu!«

*) Gmin utrzymuje, że cienie na księżycu są obrazami, jak Abla Kain zabija.

**) *Castor i Pollux* — Konstellacyja.

Zamilkł, i w xiężyc zamkłe wlepił oczy —
Razem się pręży i w okno wygina;
Zda się, iż oknem aż ku niebu skoczy,
Tak się ku niebu napierać zaczyna!

31.

»Jam w tobie kochał méj duszy pieszczoty,
»Jam twoję duszę w piers chował głęboko;
»Tyś nią w książęce patrzyła klejnoty,
»I nad Albinem stanęłaś wysoko!
»Lecz cię odbiorę, mam na to sposoby:
»Na łejc zamienię te promyki blade;
»Wszystkich śmiertelnych pozamykam w groby,
»A sam jak xiążę do xiężnej pojadę!

32.

»W tém czystém oku pościeramy plamki,
»Widły Kaina zawiesim na chmurze....«
Tak szepcząc idzie, dotyka się klamki,
Klamka posłuszna puszcza go w podwórze.
Pod kościoł stanął, a nikt nie przestrzeże,
Nikt biedną duszę wczas ocknąć nie skoczy!
Xiężyc oblewa hojnie światłem wieżę,
Jakóba we śnie jakiś zły sen droczy!

33.

Postać za kościoł nad rzekę pomknęła!...
Tam z cegieł w murze karby zostawione
Mają zaczasem do budowy dzieła
Dodać wieżycę jeszcze w drugą stronę.
Znikła — i bawi czasu dosyć wiele,
Cóż ma tam czynić?... ach myśl drży ze strachu!...
Przebóg! ach patrzcie! już jest na kościele,
Już śmiało siodła grzbiet wzniosłego gmachu·

34.

Zgroza i spojrzeć! straszne widowisko!
Wysokość straszna, i widok nad wiarę!
Dach jak zwierciadło, jak na lodzie ślizko,
A postać we śnie trzyma o włos miarę!
Wesoło puszcza wiatrom krucze włosy,
Wprost ku wieżycy posuwa się śmiało;
Już wchodzi w pokój, gdzie śpią dzwonów głosy,
Wyżej chce jeszcze, to mu jeszcze mało!

35.

Aż tam, gdzie z jabłka krzyż złocisty rośnie,
Chęć jego ducha żądnem skrzydłem wzlata!
Jak kropla wisi na kościelnej sosnie,
Staje pod krzyżem, jak Zbawiciel świata!
W téj chwili właśnie Lotar w serce mierzy,
I wznosząc oczy trętwieje widokiem!
Jakób snom strasznym bardzo łatwo wierzy,
Wybiega z celi, — i widzi sen okiem!

36.

Rój w dole rośnie, dusza duszę wskrzesza,
Pełni się, pełni w około dolina;
Na dziw pod krzyżem patrzy ludu rzesza,
Lecz drżąca warga mowy zapomina!
Wbiega Helena i spojrzawszy w niebo,
»Albina — wykrzyka, i pada jak trupem;
Przestrach nieszczęsnéj stał się tu potrzebą,
Zyskała mowę, lecz jakim okupem!

37.

Postać zpod krzyża zwolna w dół się spuszcza,
I coraz niższych, niższych gzymsów tyka;
Już bazar cały zapełniła tłuszcza,
Patrzy ze strachem w dzieło ponocnika!
On wciąż z przywartą w dół siąknąc powieką,
Wysledza nogą wszystkie wieży dołki;
Umie on sięgnąć blizko i daleko,
Jakby wprzód w wieżę pozabijał kołki!

38.

Kiedy to czyni, przeznaczenie w górze
Z ćmy losów ludzkich przypadek wyciąga!
Mieszkała kawka z pisklętami w murze,
On tam się zbliża, tam i ręką sięga.
Ptak przestraszony wstępem wędrownika,
Klasnąwszy w skrzydła, wrzasnął stratą dzieci;
Nieszczęsny snowidz ze snu się ocyka,
Jakby łza kapnął — i w dno rzeki leci!

39.

Dotąd lud mówi, że kiedy w rocznicę
Tego zdarzenia piękny dzień wypadnie;
Widać snowidza zakrwawione lice,
Ale głęboko, bardzo blado, na dnie!«

Tu już kasztelan powiastkę ucina,
Że mu się wiodła, czeka na pochwałę;
Ale mu słuchacz grzecznie przypomina,
Że jeszcze w treści są pytania małe:
Kto jest Helena? jaki los Lotara?
Te się dwie rzeczy za mocno już wcisły,
Aby na same miały pójść domysły.
Kto powieść wiedzie, o wyczerp się stara.
»Gdy wam koniecznie jeszcze idzie o to,
Odrzekł kasztelan, »wiedzieć te ostatki;
»Dodam słów kilka z największą ochotą,
»Lecz te już z siebie tak ważkie przydatki
»Moja pokwapność jeszcze bardziej zwęzi,

Helena rószczka książęcéj gałęzi;
Książęciem miała dzikiéj dumy dziada.
Bez jego woli syn biedną poślubił,
Helena była owocem zamęścia;
Z tąd dla niéj wszystkie wynikły nieszczęścia
Dziad dumą żarty, krwawą myśl układa,
Aby i owoc i drzewo zagubił.
Po tajnych ścieżkach i po ciężkiej pracy,
Rószczkę od zguby uniósł Bonifacy,
Krył nad Dunajcem u Karpatów proga.
Jak z tamtąd z domem płynęła niebога,
Tom już, jak sądzę, wykrył należycie.
Matce Heleny wzięła żałość życie.

Znał Bonifacy charakter Lotara,
Wiedział, iż wichrem przeganiał granicę;
Przeto od uczuć bezpieczył dziewicę,
Zwłaszcza, że w przeszkod szła i rodu mara.
Ale zaledwie śmierć dumę w grób skryła,
Weszła w swe prawa córka ojcu miła.
Ojciec już wiedząc kto ją niósł od zguby,
Chętnie z jéj zbawcą zezwolił na śluby;
Jednakże dotąd tę chwilę przydłużył;
Aż się ojczyznie zięć dobrze zasłużył.«

Dona Koncha.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dokończenie.)

Rozmowa dony Maryi z Manzoresem wielkie na młodéj dziewczynie zrobiła wrażenie. Poznała jak był dalekim od dzielenia jéj zamysłu i odwagi, poznała świat, na którym żyła i straciła nadzieję znalezienia duszy, któraby ją pojęła, dzieląc jéj zemsty uczucie. — »Widzę« mówiła wzdychając, »że klasztor będzie mym udziałem. Jezus Chrystus, mój niebiański małżonek, za mnie się pomści.«

Jednakże wszystkie rozognione wrażenia młodości na tę się myśl wzburzały. Matka jéj ciągle myslała, jakby ostudzić ten wrzący nmysł. Myślała, że najprzód trzeba sprobować przemówić do jéj zmysłów. Pędziły życie ciche i spokojne, kilka *tertulias* były ich jedyną przyjemnością, i małą tylko liczbę mieszkańców miasta przyjmowały. Czyż się nie mógł w Jaen albo w okolicach znaleźć młodzieniec, któregoby przyjemność i odwaga zrobiły wrażenie na duszy dony Konchy. Od śmierci don Cezara matka rzadko odwiédzała dom wiéjski, a dona Koncha ani razu w nim nie była. Wszystkie przygotowania nieszczęśliwego dnia jéj imienin zostały tak, jak były; dzień ten nadchodził. Dona Lauvedra, która już powróciła do dawnych swoich zwyczajów, prosiła swéj córki, żeby się znow ukazała w miéjscach, gdzie przepędziła wiek młody, i żeby zezwoliła na obchodzenie dnia swych imienin, który dawniej zawsze był w familii dniem radości.

Dona Koncha nie śmiała się prożbom matki opiérać.

W wieczór przed dniem naznaczonym, matka i córka przybyła do zamku. Za przestąpieniem progów cały przeciąg czasu między obecną chwilą a zabójstwem ojca zatarł się nagle w pamięci dony Konchy, i krwawy widok, który miała przed oczyma, ożywił się z całą mocą kolorów. Krew jéj biła gwałtownie i wrzała w żyłach, a pośród pomieszanego gwaru, obijającego się o jéj uszy, tysiące głosów wołało na nię: Z e m s t a! Pierś z taką się mocą wzdymała, że się zdawało, iż pęknie. Jednakże spała bardzo dobrze, bo ją podróż zmęczyła. Gdy otworzyła powieki, jasniejące słońce zdawało się ją witać i wstała wesoła. Biały atłasowy ubior, który jéj matka podała, zajął ją nawet dość przyjemnie, znalazła się piękną i była rada ze swéj piękności, ale ją przebiegł lekki dreszcz, kiedy towarzyszka zrobiła uwagę, że jéj brakuje tylko białego wieńca, aby wyglądała jako narzeczona.

Wszyscy goście już byli zgromadzeni, kiedy wpadł Manzores, bardzéj niż zwykle blady i pomieszany: »Czy nie wiécie co się stało téj nocy?«

Wszyscy otoczyli go z trwogą.

— »Straszny Horqueto napadł niespodzianie ze swą zgrają na zamek Murviedro i złupił go, choć powiadają, że właściciel kilka godzin wprzódy przypadkiem do niego wrócił. Zdaje się, że on dla rozbójników mniéj jest strasznym, niż dla poczciwych ludzi. Mówią, że się piekielnie bronił i że uciekając został zabitym. Trwoga panuje w okolicy i każdy się podobnego obawia losu.«

»Czyżby śmiał przyjść tu, gdzie się tyle znajduje ludzi?« zapytała dona Lauvedra, usiłując ukryć swą trwogę.

»Czegoby nie śmiał Horqueto,« odpowiedział Manzores, ściągając ramionami. »Lecz posłałem do Jaen, prosząc o oddział francuzkich żołniérzy.«

Dona Koncha milczała, serce jéj gwałtownie biło. Zamek Murviedra złupiony, on sam może zabity!

»Nie mamy się czego obawiać,« rzekł Manzores, starając się uspokoić. »Jest nas tu za wiele, żeby Horqueto śmiał na nas napaść, a potém dwa napady, jeden po drugim, byłaby rzecz nie słychana!«

»Kto się tu boi?« zawołała dona Koncha mocnym głosem. »Co się mnie tyczé, sądzę, że ci rozbójnicy nicby mi złego zrobić nie mogli. Spalili zamek Murviedra, jego samego zabili. *Viva* Horqueto!«

»Senora,« zawołał z zadziwieniem jeden z przytomnych.

»Wybaczcie mi,« rzekła dona Koncha, przychodząc do siebie. »Jestem córka don Cezara i na tém o to miéjscu widziałam krew jego płynącą!«

Upadła na krzesło na pół zemdlona. Wszyscy ją otoczyli; lecz w krótce odzyskała przytomność i przewodniczyła zabawom ze zwykłą uprzejmością i wdziękiem. Na jéj rozkaz wszyscy wieśniacy zostali w zamku i cały wieczór tańcowali blizko wielkiéj bramy. Zdawało się, że dona Koncha, która już od dwóch lat nie tańczyła, chciała sobie wynagrodzić czas stracony; jéj lekkie stopy unosiły ją przy odgłosie hucznéj muzyki. Na podwórzu, w parku, w salonach, wszędzie panowała radość.

W tym wpadli nagle do zamku przestraszeni słudzy wymawiając imię »Horqueto!«

»Horqueto!« powtórzyli tancérze, nagle się zatrzymując. »Gdzież on jest?

»Przybywa przez ogród!« odpowiedział marszałek dworu cały drżący. »Jeden z jego ludzi przeskoczył przez mur i drzwi otworzył.

»Do broni!« zawołał Manzores bledniejąc i wyszedł wraz z kilką innymi. Całe towarzystwo rzuciło się do drzwi sali, któremi w téjże prawie chwili weszli ludzie Horqueta i w krótce on sam.

Byłto przystojny młodzieniec, przyzwoicie ubrany, mały wąsik ocieniał wierzchnią jego wargę, miał postać znaczącą i nieukontentowaną. Wreszcie we wszystkich jego rysach przebijała się prawdziwa męzkość. Czy przez to wrażenie, czy też postrzegając owy pierścień na palcu Horqueta, którego wzrokiem szukała, dona Koncha z małą liczbą osób pozostała w salonie, uczuła w sercu swojém nadzwyczajny, nieprzezwyciężony do niego pociąg. Zaledwie dostrzegła, że jéj matka z wyciągnionémi rękoma, na wpół zemdlona, padłszy do nóg Horqueta, całowała jego kolana; jego tylko widziała. Horqueto rzucił chciwy wzrok na bufet, pokryty srébrem, na świeczniki i kosztowne sprzęty, okrywające ściany, a nawet na podłogę, gdzie postraszone damy uciekając, porzucały swe klejnoty; jego czarne oko zatrzymało się na donie Koncha, spokojnéj i zachwycającéj; wpatrywał się w nię coraz bardziej, nie mogąc oderwać swego wzroku od téj anielskiéj twarzy. Przyzwyczajony do widoku lic pobladłych, zmienionych postrachem, do ust posiniałych i drżących, nie mógł się nasycić widokiem téj świeżości, téj piękności, tych oczu spokojnych i szlachetnéj postawy. Zdawało się, że dona Koncha takie na nim zrobiła wrażenie, jakie on na niéj.

»Nie!« zawołał nareszcie, »Niechce nic, nic, prócz niéj. Jéj tylko!« powtórzył i padł na kolana przed młodą dziewczyną, z rękoma na piersiach złożonémi, z głową spuszczoną w postawie, jakąby przybrał przed obrazem Madony.

»Włóż ten pierścień na mój palec, a będę twoją,« rzekła, zaledwie oddychając.

»Ten pierścień,« zawołał z radością.

»Tak jest, jeżeliś go ściągnął z palca, który się już nie poruszy.«

»Zabiłem Murviedra. Łotr dobrze się bronił. Te dyjamenty prawie mię oślepiły, gdym się z nim pasował, lecz dzięki méj patronce, zwyciężyłem.«

— »Jestem twoją! chodź.«

»Córko moja!« zawołała dona Lauvedra płaczliwym głosem.

»Biédna matko!« rzekła ta smutnie. »Wiész, żem przysięgła.«

»Lecz,« rzekła matka, zbierając swe siły, »jeżeli jest żonaty?«

Dona Koncha zbladła. »Wtenczas matko,» rzekła słabym głosem, »spełni się moje przeznaczenie. Nim zajdzie słońce obetnę włosy i zamienię tę suknię jedwabną, którąś mi dała, na habit zakonny.

»Nié mam żony,« zawołał Horqueto, który z radości i podziwienia piérwszy raz w życiu od zmysłów prawie odchodził.

»Chodź więc!« zawołała dziewczyna i rumieniec znowu się na jéj ukazał licu.

»Nie płacz matko,« dodała, całując z zapałem jej ręce, »twoja córka nie będzie nieszczęśliwą, gdyż go kocham. Od kilku chwil wiém co jest miłość. Lecz dla sławy naszego imienia, zachowaj tajemnicę. — Powiedz, że mię porwał.«

»Właśnie też to robię,« rzekł Horqueto i spiesznie z nią odjechał. *(A. S.)*

Myśli Stanisława Leszczyńskiego, króla polskiego. *)

Oczy tam nie widzą, gdzie serce nie działa z niémi.

Jestto pewien rodzaj odwagi, nieokazywać jéj w tenczas, kiedy jest nieużyteczną, a może szkodliwą.

Należałoby w rachubie czasu ten tylko czas umieszczać, w którym odznaczyliśmy się dobrémi uczynkami, a resztę uważać za utracony.

Świat nam przedstawia coraz nowe widowiska, na których ciż sami aktorowie odmienne grywają role.

Przeszłość wystawia nam tylko nadzieję; chwila obecna jest rzeczywistością.

Człowiek wyższy nad swoje nieszczęścia dowodzi, że nie zasłużył na nie.

Wielu ludzi mają w sobie ukryty zaród jenijuszu, o którym sami nie wiedzą, trzeba trafu, szczególnego jakiegoś wypadku, żeby go w sobie odkryli. Można ich przyrównać do kwiatów, które wiatr zasklepił, a które się rozwijają za okazaniem się promieni słonecznych.

Chcąc ocenić zasługę wielkich ludzi, trzeba być samemu usposobionym do wielkości. Jenijusz bowiem do jenijuszu tylko przemawia.

Człowiek roztrzepany i człowiek trwożliwy do niczego nie są przydatni, piérwszy bowiem zawsze działa bez zastanowienia się, drugi wtedy rozmyśla i zastanawia się, kiedy działać należy.

Męztwo jest jedyną cnotą, któréj fałszować nie można.

Kto przestaje procesować się, nie raz rzeczywiście wygrywa.

Wesołość jest lekarstwem duszy, a smutek jéj trucizną.

W tym tylko razie może się człowiek wyléczyć z gwałtownéj miłości, kiedy przez długi czas był razem szczęśliwy i nieszczęśliwy.

Dziwną jest rzeczą, że słabość nie umié używać innéj broni, tylko prześladowania i niesprawiedliwości; doświadczenie przekonywa, że serca najsłabsze zawsze są najokrutniéjsze.

Człowiek z jenijuszem nie będzie mógł dobrze rządzić państwem, jeźli mu brakuje na przyzwoitéj stałości, a ta stałość właśnie jest przyczyną nieszczęścia kraju, którym rządzi człowiek bez jenijuszu.

Są przymioty, które nie którym tylko osobom podobać się mogą, ale uprzejmość podoba się wszystkim.

Publiczność jestto echo, które nie zawsze rzetelnie głosowi naszemu odpowiada.

Zabobonność jest najpewniéjszą oznaką nieumiejętności.

Jakże liczni są pochlébcy na dworach monarchów! Przyrównać ich można do owadów, przybiérających na siebie kolor trawy, do któréj się przyczepiają.

Szlachectwo byłoby nie równie znakomitszym stanem, gdyby można było uszlachcić uczucia.

Najpiękniéjszą biblijoteką jest biblijoteka najlepiéj w głowie uporządkowana.

Sumienie zawsze wprzódy ostrzega po przyjacielsku, nim nas jako sędzia karać zacznie.

Gdybyśmy obok tylu trosk i nieszczęść życie nasze trujących, byli nieśmiertelnymi, los nasz byłby najnieznośniéjszym na ziemi. Słodko jest poniekąd rozmyślać, że nie zawsze żyć będziemy.

*) Urodził się we Lwowie dnia 20. października r. 1677, umarł dnia 23. lutego r. 1766 w Lunewillu i pochowany w Nancy, w kościele *Bon-secours*, wystawionym przez niego.

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

Anekdoty.

Adam Korwin Krasiński, biskup kamieniecki, mąż przedsiębierczy i wybornego sposobu myślenia, był jednym z najczynniejszych w konfederacyi barskiéj. Pod różnemi postaciami przejeżdżał Polskę i związki potrzebne konfederatom tworzył. Raz podróżował do Konstantynopola w charakterze lekarza, drugi raz w ubiorze oficéra pruskiego, mając ludzi swoich za żołniérzy pruskich poprzebieranych, przeprowadził kilkaset koni przez cały obóz rossyjski.

Pewien ubogi, nieznany, ale wcale utalentowany autor, zaniósł do jednego z bogatych księgarzy Edynburga ułożone przez siebie rękopismo. W kilka dni przybył znowu i zapytał się tegoż, wiele za to dziełko honoraryjum zapłaci. „Pięć funtów," rzekł po niejakim namyśle księgarz. „To bardzo mało," odparł ubogi autor, wzruszając ramionami, „ale muszę wziąć, bo żona moja słaba, więc pieniędzy potrzebny jestem." Zdarzyło się właśnie, że Walter-Scott był przy téj rozmowie. „A mnie," rzecze, zwracając się do księgarza, „wiele dałbyś wćpan za dzieło podobnéj wielkości?" — „Wćpanu, mój panie, wćpanu 1,000 funtów bez namysłu," odrzekł z pospiechem nakładnik. „Dobrze więc" mówił daléj sławny autor, „to dzieło jest moje," a rzekłszy to, wziął pióro i dopisał na tutule owe tyle znaczące wyrazy: „przez autora Wawerleja." Nad podziw uszczęśliwionemu autorowi rękopisma istotnie pieniądze te wyliczono.

Podczas niepokojów za panowania Karola I. króla Angielskiego, przybyła dziewczyna wiejska do Londynu, szukać służby; długo takowéj znaleźć nie mogła, aż nareszcie udała się do browaru, gdzie ją przyjęto do roznoszenia piwa. Browarnik postrzegł piękność dziewczyny, uwolnił ją od ciężkiéj pracy, a poźniéj z nią się ożenił. Umarł młodo i zostawił znaczny majątek. Żonie jego, chcącéj sprzedać browar, radzono, ażeby udała się do pa. Hyde, jednego z bardzo zdatnych adwokatów, w zamiarze poradzenia się go w sprawie majątkowéj. Uczyniła to; prawnik ożenił się z wdową piwowara, a poźniéj został hrabią Clarendonem. Córka z małżeństwa tego była małżonką Jakóba II. i matką Maryi i Anny, królowych Angielskich.

Lord Byron utrzymuje, że zasady moralne związku towarzyskiego najwięcéj jeżli 2,000 lat trwać mogą. Widać, że zapomniał o Chinach.

Im bardziéj zapędzamy się na południe, tym więcéj pomnaża się przesada w obrazowéj mowie życia zwyczajnego. Polak chcąc wyrazić się, że przemókł, powiada: Zmokłem do koszuli. Niemiec mówi: *nass, bis auf die Haut* (aż do skóry). Francuz daléj się zapędza i powiada, że przemókł *jusqu'aux os* (aż do kości). Hiszpan wszystkich przechodzi, utrzymuje bowiem, że jest *majado nacta los tuetanos* (przemokły aż do szpiku w kościach).

W czasach dawniéjszych była tak wygórowana grzeczność, że nawet podczas wojny robiono sobie grzeczności wojskowe, w śmieszność niekiedy wpadające. Tak więc pod czas sukcesyjonalnéj wojny hiszpańskiéj, na początku wieku 18go, zdarzył się nad Renem przypadek, że dwaj naczelnicy stojących na przeciw sobie nieprzyjacielskich szwadronów jazdy, długo przez grzeczność komplementowali się, który ma piérwéj uderzyć. — Podczas oblężeń naczelnicy rozdawali sobie obopólnie łakotki, a August II. król Polski, po ukończonéj zaciętéj potyczce jazdy pod Warszawą r. 1704 pożegnał się zdjęciem kapelusza z przeciwnikiem swoim, Karolem XII. królem Szwedzkim.

W Kantonie w Chinach liczą nie mniéj nie więcéj, tylko 60,000 szewców.

Pewien kady rzekł raz do swojego kolegi: „Z trudnością przychodzi mi wydać wyrok, jeżli jedna strona bogata, a druga uboga." — „U mnie to drobnostka," odrzekł kolega, „ale kiedy obie strony bogate, a jedna coraz więcéj daje, jak druga, to wtedy w saméj istocie trudno przychodzi dać wyrok. *(Luna.)*

Gdy pod czas systematu kolonijalnego surowo przestrzegał Bonaparte wykonania onegoż; polował razu jednego w lesie winceńskim. Zsiadł z konia, a idąc ulicą, zapach kawy palonéj usłyszał. Natychmiast wszedł do domu, z którego ten zapach wychodził i mieszkańca jego, proboszcza, ujrzał palącego kawę. „Jako, mosci xięże proboszczu, wćp. kawę palisz? Zdaje mi się, że zakazana;" rzecze doń.... Z największą obojętnością odrzekł proboszcz: „Wiem o tém, że zakazana najj. panie i dla tego ją palę, ażeby zniszczała." Cesarz rozśmiał się i w nagrodę téj dowcipnéj odpowiedzi posłał mu cetnar kawy z własnego zapasu, gdyż sam nigdy się bez niéj nie obchodził. *(Aerenlese.)*

Przykładów nadzwyczajnéj długo-letności szukać potrzeba u Hindów, którzy bardzo miernie żyją i żadnym nie podpadają namiętnościom. W nowszych czasach wspominają o pewnym Hindu, któremu wiek 700-letni przypisują. Świadczący o tém Anglicy z aktów to obowiązują się dowieść. Twierdzą oraz, że w początkach każdego wieku dostawał nowe zęby, włosy, a ogólem siły odzyskiwał. *(Oester. Gesundh. Zeitung Nr. 79. r. 1831.)*

Kto u Tatarów nogajskich chce miéć dziewczynę, udaje się do ojca i w handel wchodzi. Za 30 do 50 krów dostać można najpiękniejszéj, najniewinniéjszéj dziewczyny nogajskiéj. Chcąc miéć dziewczynę z perkatym noskiem, któréj fizyjonomija kałmucka, albo pochodzenie oznacza, takowéj można dostać taniéj, za 5 do 10 krów. A kto poprzestaje na wdowéj, ten ją taniéj jeszcze miéć może, a zwłaszcza, gdy nabywca i dzieci przyjmuje. W ostatnim przypadku często jéj darmo dostać można.

Portret tchórza cholerycznego.

Najprzód miéć powinien na sobie skórę z *gummi elasticum*, na téj wielki plaster ze smoły, owiązany kilką łokciami flanelli. Na sercu miéć powinien talérz; na piersiach wielki worek z ciepłym piaskiem; na około szyi podwójną chustkę, napełnioną bzem i ziarnkami pieprzu; w uszach dwa kawałki bawełny z kamforą; koło nosa flaszeczkę z octem *des quatres voleurs*, a koło ust gałązkę kalmusu. Na zawiązce z flanelli miéć powinien koszulę posypaną wapnem chlorycznem, na téj kaftanik wełniany, na nim gorącą cegiełkę, kamizelkę z wapnem chlorycznem, flanellowe spodnie, niciane pończochy gotowane w occie, a na tych wełniane kamforą potarte, pod podeszwami płytkie miedziane flaszki z wodą ciepłą, a dopiero na tych trzewiki. Za łytkami powinien miéć wiszące dwa dzbanki z wodą ciepłą. Na to wszystko niech wdzieje wielki szlafrok bawełniany chlorem potarty, a wreszcie płaszcz z ceraty i takiż kapelusz. W prawéj kieszeni miéć powinien funt herbaty melisowéj i pół funta dzięgielu, w lewéj szałwiję i rumianek. W kieszónkach kamizelkowych powinien miéć dwa flakoniki, jeden z olejkiem rumiankowym, drugi z kamforowym. Wreszcie trzymając w prawéj ręce gałąź bzu, w lewéj akacyi, a w ustach z ćwierć funta kalmusu, powinien miéć na około siebie szczotki do tarcia, cegły, futra i t. p. rzeczy, a pewny będzie, że na cholerę — najpiérwszy zachorować może.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.